

Alicja Kalafut

WOJENNA KRYNICA OCZAMI DZIECKA

Gdy na przełomie lat 1939/1940 zostaliśmy z rodzicami wysiedleni z Poznania, trafiliśmy najpierw na krótko do Warszawy, a potem – w czerwcu 1941 roku – do Krynicy. Poprzez ogłoszenie w gazecie Ojciec dostał pracę operatora w kinoteatrze przy Deptaku. Mieszkaliśmy początkowo w mieszkaniu na zapleczu sceny teatralnej, z oknami na Deptak.

W roku 1941 zaczęłam uczęszczać do szkoły. W mojej klasie byli: Urszula Boroń (córka kierownika szkoły), Basia Królikiewicz, Rena Bluj, Ala Gałuszka, Ireneusz Zulicki, Maciek i Jędrzek Purzyccy i – do dzisiaj będąca moją przyjaciółką – Roma Załuska Sudo. Ojciec Reny Bluj był dentystą; jej rodzina mieszkała na parterze w „Tatrzańskiej”.

Wcześniej, gdy już mieszkaliśmy przy ul. Kraszewskiego, naprzeciwko w nocy zaczął się palić się dom zamieszany przez rodzinę z trójką czy czwórką dzieci. Rodziców w domu nie było, ogień szalał, a mój Ojciec ratował te dzieci. Był tam też nasz sąsiad, pan Sowa – krawiec. Teraz, pisząc te słowa, zastanawiam się, czy żyją jeszcze osoby, które jako dzieci zostały uratowane z pożaru?

Moja koleżanka, Roma Sudo, mieszkała w budynku PKP. Odwiedzając ją, często byłam świadkiem rewizji przeprowadzanych przez Niemców. Popołudniowym pociągiem wracali mieszkańcy Krynicy, którzy jeździli „na handel” do okolicznych miasteczek i wiosek. Królował handel wymienny. Na takie wymiany została przeznaczona spora część naszej odzieży i trochę złotych drobniaków mojej Mamy. Uzbrojeni Niemcy podjeżdżali pod stację i wrywkowo legitymowali pasażerów, zabierając im przywiezioną żywność.

Ojciec mój stał się w 1942 roku niewygodny dla Niemców i został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Po aresztowaniu Ojca Mama dostała pracę w rozlewni wody mineralnej, przy myciu butelek. Ciężka to była praca, to mycie w lodowatej wodzie... Po jakimś czasie Mama została przeniesiona do wypożyczalni kubeczków. Tam pracowała z p. Kozieniem i Lolą Migacz. To właśnie pani Lola nawiązała kontakt z partyzantką i Niemcem – Ślązakiem (na siłę wcielonym do niemieckiego wojska), który przebywał na leczeniu w Krynicy. Co pewien czas, wieczorami, przynosił do nas jakieś meldunki, wiadomości (mieszkałyśmy wówczas u pani Marcinkowej); pukał do parterowego okna, wtedy Mama lub pani Migacz wychodziły po te meldunki lub słowne wiadomości. Następnego dnia, z kaneczką na mleko i meldunkami zaszytymi w szmacianej lalce, szłam z Mamą do Tylicza. Dzisiaj zdaję sobie sprawę, że to nie był Tylicz, tylko zdecydowanie bliżej. Szłyśmy ulicą Zieleniewskiego, mijając po prawej stronie szyby odwiertów wody mineralnej (chyba trzy), aż pod las, ścieżką

w lewo pod górę – do małej chaty. Wracałyśmy z kozim mlekiem. Raz zaczepił nas patrol niemiecki; ponieważ znali Mamę z Pijalni, zapytali tylko, po co idziemy tak daleko. Zaczekali na nas i w drodze powrotnej sprawdzili, czy niesiemy to mleko. Po jakimś czasie Ślązak dał znać przez kolegę, że więcej nie przyjdzie, bo wysyłają go na front. Po wojnie namawiałam Mamę, by ujawniła swoją działalność, ale powiedziała, że robiła to z nienawiści do okupantów i by włączyć się w działalność dla Polski; nawet nie wie, jaka to była partyzantka.

W czasie spacerów z koleżankami często widywałyśmy słynnego Nikifora, ciągle był głodny. Uderzał dłonią w usta, na znak, że chce jeść. Za ofiarowane resztki śniadania dostawałyśmy namalowane przez niego obrazki, które nasze mamy wrzucały do pieca, żeby nie zarazić się gruźlicą. Nikifor, z braku wody, często malował plując na pędzel. Teraz, po latach, często wspominamy te obrazki z Romą Załuską Sudo, śmiejąc się, ile to pieniędzy w ten sposób przeleciało przez komin.

Podczas okupacji na przydział dostawało się ciemną mąkę, która drapała bardzo w gardle; nosiłam ją czasem do piekarni na ul. Kościelną. Pracował tam jakiś czas ojciec Jana Kiepurę. Wymieniał mi mąkę na grahamki.

W pamięci utkwiła mi historia kilkunastoletniej Gabrieli Florek. W 1943 lub 1944 roku młody partyzant szedł ul. Kolejową, napotkał patrol Niemców. Gdy już przeszli obok, nagle zawołali „halt”, a chłopak nie wytrzymał nerwowo, wyciągnął rewolwer i, obracając się, strzelił do Niemca. Jednocześnie wystrzelił też któryś z Niemców. Już nie pamiętam, czy partyzant został zabity, czy ranny. Po przeszukaniu znaleziono przy nim zdjęcie Gabrieli. Dziewczyna i jej matka zostały aresztowane i wywiezione do Oświęcimia.

Gabriela w obozie przeszła doświadczenia, przeprowadzane przez doktora Mengele. Dziwnym zbiegiem okoliczności pani Florek w czasie zawieruchy końca wojny, gnane przez Niemców z Oświęcimia w głąb Niemiec, spotkały się z moim Ojcem, pędzonym w odwrotnym kierunku z obozu w Oranienburgu. Po wojnie przez jakiś czas państwo Florkowie mieszkali w Janowicach Wielkich koło Jeleniej Góry.

W latach 1941 – 1943 Niemcy bardzo dbali o zdrowie swoich kuracjuszy. Sprawdzali też stan zdrowia i higieny Polaków, chroniąc w ten sposób swoich żołnierzy przez kontaktem z osobami chorymi czy zaszczepionymi. Co jakiś czas przychodził do szkoły pracownik sanitarny z niemieckim żołnierzem i sprawdzał czystość ubrania i włosów. Za pierwszym razem, w razie stwierdzenia wszawicy, dawał ocet sabadylowy, następnie golił pasek przez włosy. Pamiętam, że wszawica była częsta, szczególnie w warkoczach.

W tym roku gazety dużo pisały o rzeźbach lodowych, a ciekawa jestem, czy ktoś pamięta o rzeźbach z lodu przed Domem Zdrojowym w 1943 roku? Mówiło się wtedy, że zrobił je żołnierz niemiecki przebywający w Krynicy na leczeniu.

Wryła mi się w pamięć postać pani Zulickiej, żony Stanisława Zulickiego¹, która prawie przez całą okupację w kredensie za szybą trzymała czerwoną pisanekę z białym orłem.

¹ Stanisław Zulicki był dozorcą przy dolnej stacji kolejki na Górę Parkową (zob. Leszek Zakrzewski, *Kolej Górska w Krynicy 1937–1948*, „Almanach Muszyn” 2007, s. 49).

Pod koniec okupacji, kiedy klęska Niemców była blisko, wybudowano w Słotwinach i na ul. Kraszewskiego, poniżej Ośrodka Zdrowia, barykady z drewnianych bali, wypełnione w pustych przestrzeniach kamieniami, które miały zamknąć Krynice i utrudnić przejazd przez nią. Pamiętam, że był to styczeń, barykad nie dało się ruszyć.

I jeszcze jedno wspomnienie, bardzo przykre, tkwiące we mnie do dzisiaj. Formacja ukraińska przy niemieckim wojsku. Idą środkiem ulicy i śpiewają do marszu. Zapamiętałam słowa (zapisuję je fonetycznie): „My stawat’, my stawat’, a Polaczkow wyriezat’”...

Z Krynicy wyjechałyśmy w lipcu 1945 roku. Po latach wyszłam za mąż za chłopaka z Muszyny. I tak, szczęśliwym trafem, zyskałam możliwość spędzania wakacji w Muszynie i Krynicy. I sposobność wspomniania z koleżanką dawnych czasów. Nasi mężowie śmiali się z nas, bo my ciągle: „a pamiętasz?”... Od 1951 roku byłam w Krynicy na urloпах ponad 30 razy. Niestety pogarszające się zdrowie nie pozwoliło mijechać w góry w 2007 roku. Pozostało mi oglądanie zdjęć, kartek i taśm.

Za każdym razem, gdy wyjeżdżam z Muszyny, cichutko sobie powtarzam, parafrazując wieszczka na swój użytek:

Muszyno, ojczyzno moja mała,
Ty jesteś jak zdrowie,
ile cię trzeba cenić
Ten tylko wie... kto musi wyjechać...



Deptak w Krynicy – lata 30. XX wieku